

Jan Gaweł

PACYFIKACJA ZWIĘCZYCY
8 czerwca 1943 r.

wspomnienia

Rzeszów 2015

Redakcja techniczna
Tadeusz Ochendusko

Korekta
Anna Putyło
Tadeusz Ochendusko

Wydanie sygnałne

ISBN

Wydawnictwo KORAW
Biuro Rzeszów, ul. Gałęzowskiego 6/321
<http://wydawnictwokoraw.wordpress.com>

przy współpracy
z Regionalnym Stowarzyszeniem Pamięci Historycznej „SLAD”

Rzeszów 2015

Piszę nie z nienawiści ani złości do nich, ale dla ocalenia pamięci tych dni największych okrucieństw, jakie nam zgotowali niedoszli „panowie świata” za to tylko, że byliśmy Polakami kochającymi swoją ojczyznę.

Jeżeli umownie przyjmiemy, że większa akcja terrorystyczna, to taka, w wyniku której śmierć poniosło co najmniej 10 osób, to Niemcy podczas okupacji przeprowadzili na wsiach polskich¹ około 770 takich akcji, a zginęło w nich około 19.800 mieszkańców. Liczba egzekucji na mieszkańcach wsi, w których zginęło poniżej 10 osób jest kilkakrotnie większa. W województwie rzeszowskim (w granicach z lat 1945 – 1975) okupanci niemieccy dokonali w wioskach 62 egzekucji, mordując 1348 osób². Większość świadków pacyfikacji Zwięzcy nie patrzy na nią przez pryzmat statystycznych liczb i porównań do innych zbrodni, lecz postrzega ją jako tragedię, która dotknęła prawie wszystkie rodziny mieszkające wtedy w naszej miejscowości.

Na samym początku bardzo krótko pragnę wspomnieć o obławie dokonanej w graniczącej ze Zwięzycą Staroniwie. Jej mieszkańcy przeżyli tydzień wcześniej podobną tragedię jak mieszkańcy Zwięzcy. O wydarzeniach tych nie wolno zapominać.

Siedmioosobowa grupa oporu Armii Ludowej, na czele której stał niejaki Józef Augustyn z Niechobrza, przechodząc o świcie 28 maja 1943 roku przez Staroniwę, zatrzymała się na chwilę w pobliżu znajdującej się tam elektrowni. Augustyn oddał kilka strzałów do

¹ Na obszarze pomiędzy obecną granicą wschodnią a przedwojenną granicą zachodnią Polski.

² Cz. Madajczyk, *Hitlerowski terror na wsi polskiej 1939 – 1945. Zestawienie większych akcji represyjnych*, Warszawa 1965, s. 9.

transformatora elektrycznego, powodując zwarcie i krótkotrwałą przerwę w przepływie prądu elektrycznego do Flugmottoren-Werk w Rzeszowie. Następnie grupa oddaliła się przez pola Staroniwy i Zwiężczy w kierunku Niechobrza.

W odwet za uszkodzenie transformatora, Niemcy w dniu 1 czerwca 1943 r. dokonali okrutnego mordu na niewinnej ludności we wsi Staroniwa. Po otoczeniu wsi przez niemiecką policję, gestapo i esesmanów, przeprowadzili obławę na jej mieszkańców. Po przeszukaniu zabudowań zabierali wszystkich napotkanych mężczyzn w wieku od 16 do 70 lat i wypędzili ich pod elektrownię. Podczas tej obławy jednemu tylko mężczyźnie udało się uciec z pola, mimo że za nim strzelali. Był nim niejaki Jan Rusin. Pod elektrownią Niemcy wylegitymowali spędzonych mieszkańców Staroniwy, po czym aż 44 osoby rozstrzelali³. Pochowano je na pobliskim wiejskim cmentarzu w Staroniwie⁴. Dla zachowania pamięci tego okrutnego mordu dokonanego przez hitlerowskich okupantów, w kościele Chrystusa Króla przy ul. Turkienicza⁵ w Rzeszowie w roku 1975 umieszczona została pamiątkowa marmurowa tablica z nazwiskami pomordowanych. Oto one: Byra Kazimierz, Ciepiela Jan, Cisło Józef, Drąg Stanisław, Durda Henryk, Feret Stanisław, Gieroń Stanisław, Hady Ludwik, Hadór Franciszek, Kaptur Józef, Kloc Wincenty, Kocan Franciszek, Kocan Kazimierz, Kopciuch Jan, Kowal Julian, Lech Julian, Lutak Roman, Ładoś Karol, Łoza Karol, Malec Jan, Międlar Józef, Mustelarczyk Jan, Miąsik Stanisław, Noworól Władysław, Pacześniak Jan, Pacześniak Józef, Pałka Roman, Pasierb Ludwik, Pasierb Stanisław, Pasternak Aleksander, Pyrek Jan, Ręczy Mieczysław, Rogala Ignacy, Rybak Jan, Stadnik Czesław, Stadnik Stanisław, Su-

³ Na podstawie analizy istniejących dokumentów można stwierdzić, że potwierdzona jest śmierć 44 ofiar, z czego 41 lub 42 w miejscu egzekucji koło podstacji transformatorowej.

⁴ Relacja byłego Komendanta Batalionów Chłopskich, później AK, Jana Deręgowskiego z Boguchwały.

⁵ Obecna nazwa – Ks. Józefa Jałowego.

rówka Wincenty, Surówka Władysław, Szybisz Władysław, Śliwa Augustyn, Woźny Szymon, Wróbel Stefan, Żyradzki Antoni, Żyradzki Jakub⁶.

Zaledwie tydzień minął od masakry, jakiej Niemcy dopuścili się na mieszkańcach wsi Staroniwy, a już w dniu 8 czerwca 1943 r. dokonali kolejnych w podrzeszowskiej wsi Zwiężczyca i w sąsiadującej z nią od południa, a odległej 7 km od Rzeszowa wiosce Boguchwale. W Zwiężczycy zastrzelili 19 mężczyzn, w większości młodych, a do obozu koncentracyjnego do Pustkowa zabrali 25 osób. W Boguchwale przebieg obławy był łagodniejszy, rozstrzelano tam tylko jednego mężczyznę, a 7 osób zabrano do Pustkowa.

Jak przygotowywali się Niemcy do przeprowadzenia obławy pacyfikacyjnej w Zwiężczycy i Boguchwale, której dokonali w dniu 8 czerwca 1943 roku?⁷

⁶ Józef Fajkowski i Jan Religa na podstawie wykazu sołtysa gromady Staroniwa z 30 XI 1944 r. podają trochę odmienny wykaz zamordowanych: Byra Kazimierz, Ciepiela Jan, Drąg Stanisław, Feret Stanisław, Gieroń Stanisław, Hady Ludwik, Hadur Franciszek, Jakubowski Kazimierz, Kaptur Józef, Kloc Walenty, Kacalak Władysław, Kocan Franciszek, Kocan Kazimierz, Kopciuch Jan, Kowal Julian, Lech Julian, Lutak Roman, Ładaś Karol, Łoza Karol, Malec Jan, Mastelarczyk Jan, Miąsik Stanisław, Noworól Władysław, Pacześniak Jan, Pcześniak Józef, Pałka Roman, Pasierb Ludwik, Pasierb Stanisław, Pasternak Aleksander, Pyrek Jan, Ręczy Mieczysław, Rogala Ignacy, Rybak Jan, Stadnik Czesław, Stadnik Stanisław, Surówka Wincenty, Surówka Władysław, Szylina Władysław, Śliwa August, Woźny Szymon, Wróbel Stefan, Ziemiak Franciszek, Żyradzki Antoni, Żyradzki Jakub. Zob. J. Fajkowski, J. Religa, *Zbrodnie hitlerowskie na wsi polskiej 1939 – 1945*, Warszawa 1981, s. 323-324; Czesław Madajczyk informuje natomiast, że w Staroniwie zamordowano 45 osób. Zob. Cz. Madajczyk, *op. cit.*, s. 127.

⁷ Informację podaję opierając się na własnej pamięci i na podstawie wywiadów z ludźmi, którzy pełnili owej nocy wartość gromadzką w Zwiężczycy i przeżyli okupację. Gromady w tamtym czasie były jednostkami pomocniczymi gminy. W okresie międzywojennym i podczas okupacji definicja gromady odpowiadała dzisiejszemu sołectwu.

Już w nocy z 7 na 8 czerwca 1943 r. około godz. 23, Niemcy rozpoczęli otaczanie obydwu wiosek. Od wschodu posuwali się za-
rośłami brzegów Wisłoka aż po wieś Lutoryż. Od północy Zwiężczy-
ca otoczona została od graniczącego ze Staroniwą rowu odwadniają-
cego, od zachodu natomiast od pól graniczących z Kielanówką
i Raclawówką. Niemcy, gdy otoczyli pierścieniem wieś, zaczęli po-
suwać się od jej granic w kierunku centrum. Idąc polami Zwiężczy
otaczali i rewidowali napotkane zabudowania. Na przykład od Ra-
clawówki szli przez Kaczerne, tj. gminne pastwisko do mostu na
rzece Lubczy.

W obławie brało udział gestapo, esesowcy, Ukraińcy w nie-
mieckich mundurach i Azerbejdżanie w niemieckich uniformach,
którzy na rękawach mieli naszywki „Aserbeidżan”. Była też i policja
polowa, zarówno oddziały piesze jak i na koniach. Na piersiach mieli
półksiężycowe metalowe tabliczki z napisem „Feldżandżandarme-
ria”. Oddziały feldżandarmerii i Azerbeidżanów użyte były do oto-
czenia obu wiosek od strony Wisłoka⁸. Boguchwałą od zachodu oto-
czona została w dniu 8 czerwca jeszcze przed godziną drugą nad
ranem na linii toru kolejowego, poczynawszy od mostu na rzeczce Lub-
czy, aż po most nad torem kolejowym pod Lutoryżem. Tu Niemcy
zostali dowiezieni koleją. Lokomotywa jechała bardzo powoli, co
kawałek przystając, a uzbrojeni Niemcy zeskakiwali z wagonów,
zajmując w polach z góry oznaczone stanowiska. Na linii toru kole-
jowego na wyżej wspomnianym odcinku ustawionych było kilka
kaemów. Niemcy wchodzili też na rosnące wśród pól drzewa w celu
lepszego obserwacji terenu. Drogami zaś weszli tuż przed nastaniem
świtów obstawiać pola i drogi⁹.

Zaraz po północy przed wartownią gromadzką we wsi Zwię-
czyca, mieszczącą się wówczas przy głównej szosie wiodącej z Rze-
szowa przez tę wieś, pod nieukończony budynek Domu Ludowego

⁸ Relacja J. Deręgowskiego z Boguchwały.

⁹ Relacja wartownika z warty gromadzkiej.

(na początku lat 70. XX w. przerobiony został na kościół parafialny pod wezwaniem św. Józefa¹⁰) podjechał samochód. Wsiadło z niego trzech ludzi z latarkami elektrycznymi, którzy skierowali się na wartownię. Zostali zatrzymani przez wartę gromadzką okrzykiem „Stój, kto idzie!” Odezwali się czystą polszczyzną, że to policja niemiecka gestapo. Pochwalili nawet za taką służbistość stojących wartowników. Weszli na wartownię, sprawdzili wartowników, ich legitymacje i zobowiązali komendanta warty Jana Ślęzaka, aby ten jak najprędzej posłał ludzi i ściągnął ze wsi wszystkich wartowników. Zapowiedzieli wartownikom, żeby potem nigdzie nie oddalali się z warty, bo od tej pory oni obejmują służbę nad całą wsią, a warta jest już tylko do ich dyspozycji.

Wartownicy Andrzej Kubicz i Andrzej Kocór nie posłuchali ich nakazu, potajemnie opuścili wartownię, przedarli się pod torem kolejowym przez mostek i uprzedzili swych krewnych i znajomych o szykowanej przez Niemców obławie. Trzeci wartownik Józef Chudziński widząc, że nad całą wsią zawisła groza śmierci, przestraszył się i uciekł z wartowni w pola. Uciekając obudził swojego znajomego – Jana, czy też zapukał do okna i zawołał „Janek uciekaj”. Sam, jak już wspomniałem, także uciekł. Szczęśliwie przedostał się przez mostek pod torem kolejowym na drugą stronę nasypu i udało mu się dojść do wsi Kielanówki, gdzie się ukrył. Do domu powrócił dopiero w nocy. Nie poniósł za to żadnych konsekwencji, nikt go po zakończonej obławie nie szukał¹¹.

O godzinie drugiej po północy wartownik Andrzej Kubicz zapukał do okna swej córki Stefanii Zawady mieszkającej wówczas w Dolnej Zwiężycy. Gdy ta wstała i podeszła do okna ojciec powiedział do niej ściszym głosem, żeby jej mąż Stanisław jak najprędzej uciekał, albo dobrze się schował, bo we wsi są już Niemcy

¹⁰ Pierwsza msza została odprawiona 25 XII 1970 r., a 11 IX 1974 r. biskup Ignacy Tokarczuk erygował ponownie (po 350 latach przerwy) parafię Zwiężycy pod wezwaniem św. Józefa.

¹¹ Relacja Stefanii Zawady.

i rano na pewno będzie obława. Stefania prosiła jeszcze ojca, aby ten wszedł do niej na chwilę do domu, ale odmówił, tłumacząc się ważnymi sprawami do załatwienia. Chciał zawiadomić jeszcze Leona Paśkę, Franciszka Popka i wielu innych ludzi¹².

Okolo godziny trzeciej nad ranem do domu Walentego Szalachy przyszli Niemcy i założyli tam swój punkt sanitarny. Kazali sobie przygotować stół nakryty czystym prześcieradłem, postawili go na środku kuchni. Następnie do izby wniesiono dużą ilość bandaży, środków opatrunkowych i kilka par noszy. Na stole poukładano potrzebny sprzęt oraz środki opatrunkowe do natychmiastowej pomocy lekarskiej. Przybył tam lekarz niemiecki, który mówił dobrze po polsku. Tak przygotowywali się do obławy. Widać było, że liczyli się z możliwością walki i że mogą być ranni z ich strony.

O świcie Niemcy przyszli też do domu Jadwigi Micałowej, mieszkającej za starą szkołą w Zwiężycy (obecnie budynku tego już nie ma, a na miejscu szkoły postawiony jest Dom Ludowy¹³) i zapowiedzieli jej, że w tym dniu, aż do południa nie wolno jej nigdzie wychodzić z domu na pole. Tak więc gestapo już wcześniej zaplanowało sobie miejsce obok jej domu na dokończenie tam tej bestialskiej egzekucji.

Na Kolonii Zwiężyckiej w pobliżu wspomnianego domu Walentego Szalachy, na nizinie przy drodze od strony toru kolejowego ustawiono namiot, w którym zainstalowano centralę telefoniczną, a z rozchylonych płacht namiotu wystawała lufa kaemu. Tuż za nim wykopano duży, kwadratowy i głęboki dół. Nie wiadomo, czemu miał służyć. (Sam to zauważyłem). Również i w ogrodzie sąsiada Płonków, Jana Mikuły, już okolo godziny drugiej nad ranem Niemcy ustawili karabin maszynowy, wymierzony w zabudowania największego wówczas, liczącego 37 morgów gospodarstwa rolnego

¹² Relacja jednego z pełniących wartę.

¹³ Obecna nazwa – Osiedlowy Dom Kultury „Zwiężycza” Filia Rzeszowskiego Domu Kultury.

w Zwiężycy, należącego do Jana i Salomei Płonków¹⁴. Wzdłuż zaś dróg i po polach Zwiężycy i Boguchwały Niemcy poroziągali przewody telefoniczne. Tak pod osłoną nocy przygotowywali się do obławy na mieszkańców obu wsi.

Z nastaniem świtu w dniu 8 czerwca Niemcy przystąpili do obławy na wszystkich mężczyzn w wieku od 16 do 70 lat. Zaczynali od zabudowań, które były położone na skraju wsi. Po ich przeszukaniu zabierali mężczyzn, których następnie gromadzili na łąkach i drogach. W części wsi (w przysiółku Góra) spędzono ludzi na zalaną wodą łąkę położoną naprzeciw domu Stanisława Rząsy i kazano im kłaść się w tej wodzie, rzędami jeden przy drugim, twarzą do ziemi. Tak trzymani byli przez ponad dwie godziny zanim odprowadzono ich do szkoły. W przysiółku Dolnej Zwiężycy rozpoczęto obławę od zabudowań Smyrzeniów. Tu zabrano trzech braci: Marcina, Tadeusza i Józefa. Po wyprowadzeniu na pole ustawiono ich pod ścianą swojego domu, twarzą do niej z podniesionymi do góry rękami. Za ich plecami repetowano karabiny. Gdy ręce im mdlały bito ich kolbami po plecach, a ślaniających się kopano, gdzie popadło. Następnie przeprowadzono ich na drogę, gdzie spędzanych ludzi wiązano po czterech, i kazano im klęczeć. Kiedy zebrano więcej ludzi, kazano im iść na kolanach w kierunku mostu. Do szkoły odprowadzano większe grupy ludzi¹⁵. Stanisław Zawada uprzedzony przez swojego teścia o niebezpieczeństwie obławy, obudził trzech kolegów, tj. Andrzeja Bednarskiego, Władysława Raka i Jakubca. Wszyscy postanowili uciekać polami w kierunku południowo-wschodnim na Boguchwałę. Robił się świt, gdy dochodzili do tzw. Przepaści, tj. zagłębionego terenu łąk przy Wisłoku przed Boguchwałą. Zostali zauważeni przez Niemca, który kilkoma strzałami do nich zabił Bednarskiego, a Raka trafił w oko. Jakubiec podniósł ręce do góry, a Zawada ze strachu padł na ziemię i zakrył się zbożem.

¹⁴ Relacja Stefana Mikuły syna Jana.

¹⁵ Relacja Stefanii Zawady.

Kiedy Niemiec doszedł do nich Bednarski już nie żył. Dobił Raka, bo ten jeszcze leżąc na ziemi wił się z bólu. Niemiec dochodząc do Jakubca krzyczał: „wo ist vier mensch? Gdzie jest czwarty człowiek? Wo ist? Wo ist?” Jakubiec zaparł się, że „nein mehr, nur drei”, w koło powtarzał, że „drei i drei”. Niemiec uwierzył i zaprzestał poszukiwania czwartego. Zażądał jednak kenkarty. Jakubiec pokazał, a ponieważ miał w niej większą kwotę pieniędzy, razem z nią dał je Niemcowi. Łamaną niemieczyzną jakoś się z nim dogadał, aby ten wziął sobie pieniądze i nie informował, że zabrał go z pola, tylko z domu. Tak też się stało, bo Niemiec doprowadził go do szkoły, nikomu nie mówiąc, że złapał go w polu uciekającego. W taki to sposób Jakubiec uratował sobie życie. A Stanisław Zawada dopiero po obławie na wpół żywy powrócił do domu.

Teraz opowiem jak przeprowadzano obławę u nas na Kolonii Zwięzkiej. Wszystko co przeżyłem, widziałem, słyszałem i zapamiętałem, postaram się opisać. Jak już wspomniałem było to w dniu 8 czerwca 1943 roku, we wtorek na św. Medarda. U nas na Kolonii obławę rozpoczęto około godziny czwartej nad ranem. Było tu tylko 25 zabudowań do przeszukania. Niemcy zaczynali od środka Kolonii od zabudowań Płonków, to jest od tego miejsca, gdzie obecnie jest stacja benzynowa. Na terenie od granic miasta po miedzę graniczną Jana Mikuły i Płonków, obławę Niemcy przeprowadzili już w dniu poprzednim, w poniedziałek 7 czerwca 1943 r. Postępowali raczej łagodnie. Gestapowcy chodzili po domach i po polach i sprawdzali wszystkie kenkarty, czyli dowody osobiste. Nikogo nie zastrzelili ani nie zabrali. Ich zachowanie nie wzbudziło podejrzeń w sąsiednich gospodarstwach.

Za torem kolejowym obławę rozpoczęto od zabudowań mojej matki Anny Gawęł. Wszystkich domów rzadko rozrzuconych było wówczas 6 (obecna ul. Zawiszy). Podczas rozpoczęcia obławy u Płonków do drzwi pierwszy zapukał młody wartownik gromadzki Eugeniusz Szalacha, wówczas 18-latek. Kazał, żeby otwierać drzwi,

bo dziś jest obława. Za nim dopiero stali Niemcy z karabinami gotowymi do strzału. Cały dom i zabudowania były obstawione przez Niemców, a z ogrodu sąsiada Mikuły wymierzony był w to miejsce karabin maszynowy. Pierwsza obudziła się Salomea Płonkowa. I to ona zawołała na swych synów: „chłopaki uciekajcie”. Przez okno do ogrodu wyskoczyło dwóch braci Płonków Jan i Stanisław, aby ukryć się w ogrodzie w malinach (dalej nie mogli, bo dom był otoczony). Zauważyli to Niemcy, puścili serię kul z automatu po tych malinach i Stanisława ranili w nogę. Złapanych w ogrodzie braci Płonków przeprowadzili zaraz pod dom Walentego Szalachy, w którym mieli swój punkt sanitarny. Tu ustawili ich twarzą do ściany, jeden tylko Niemiec pozostał ich pilnować. Ale kiedy ten Niemiec zaczął repetować karabin, na pewno myśleli, że będzie do nich strzelał. Jan szybko obrócił się w tył, skoczył do tego Niemca, uderzył go pięścią z całych sił tak, że aż go zaćmiło, bo zachwiał się i karabin wypadł mu z rąk. Wtedy Jan zerwał się do ucieczki. Już szykował się do przeskoczenia drugiego rowu przydrożnego, gdy Niemiec się pozbierał, strzelił i zabił go na drodze. Stanisław w tym czasie uciekł w drugą stronę. Wpadł do stajni do Szalachy i ukrył się w słomie pod żłobem. Na odgłos strzału zbiegli się gestapowcy z obstawy drogi i poczęli szukać zbiega. Pobiegli aż na wały toru kolejowego, ale tam go nie znaleźli. Wrócili do zabudowań Szalachy i zapowiedzieli gospodarzom, że jeżeli za pięć minut nie znajdą zbiega, to wszystkich domowników wystrzelają, a zabudowania spalą. Jeden z tych Niemców złapał widły i zaczął nimi kłuć po słomie na strychu, w stodole i stajni. Pchnął widłami pod żłobem i natrafił na ukrytego Stanisława Płonkę, przebijając mu wtedy bok. Wydobytego Stanisława dwukrotnie rannego „opatrzył” nawet niemiecki lekarz. Opatrunek odbył się w ten sposób, że rozpiął mu ferszelung, w który był ubrany, popatrzył na jego rany, zapiął go z powrotem i odszedł. Jeden z Niemców wpadł ponownie do stajni do Szalachy, wyjął nóż, uciął kawałek lejca od chomonta i związał nim ręce Stanisławowi Płonce. Był tam

tak trzymany pod silną eskortą, dopóki nie przyprowadzono więcej ludzi. Potem został doprowadzony na pierwszy punkt zborny ludzi zabranych z Kolonii, urządzony w tej nizinie drogi, gdzie obecnie przebiega granica miasta Rzeszowa¹⁶. Było to w pobliżu namiotu, pod którym umieszczony był karabin maszynowy i centrala telefoniczna. Tu ludzi trzymano na klęczkach powiązanych po czterech.

Gdy zebrano już wszystkich ludzi z przysiółków, spod Lisiej Góry, Stawków i Kolonii przy drodze, wówczas nakazano im iść pod Dom Ludowy. Wszystkim odebrano pasy od spodni i powiązano im ręce, wiążąc ich po czterech. Tak ustawieni na gościńcu pilnowani byli przez niemieckich żołnierzy. Trzymani byli do czasu aż ostatnia niemiecka grupa przeprowadzająca obławę przyprowadziła pojmanych ludzi.

Pozwolę sobie wymienić mężczyzn zabranych u nas na tej obławie: z domu od Płonków zabrano jeszcze ze strychu ich krewnego Władysława Płonkę oraz Stanisława Szydelkę z Pobitnego, który przyszedł do swej babki i tam zanocował oraz pracującego tam robotnika o nieznanym mi nazwisku, a który miał na imię Stanisław. Z następnych domów zabrano dwóch barci: Franciszka i Józefa Gajdka (oba byli szewcami), Marcina Stopyrę, Eugeniusza Vogla, Ludwika Półchłopka, Jana Stopyrę – byłego sierżanta Wojska Polskiego, Jana Kruczka i jego lokatora o nieznanym nazwisku, Franciszka Skibę, Władysława Maternę, brata jego sołtysa Józefa Maternę, lokatora od jego matki niejakiego Żyłę, Walentego Szalachę, trzech jego synów: Tadeusza, Teofila i Eugeniusza, który w tym nieszczęsnym dniu pełnił wartę gromadzką (czwarty z nich Piotr uniknął obławy, bo w tę noc był na nocnej zmianie w pracy w fabryce Flugmotorwerku w Rzeszowie) oraz Franciszka Ślusarza. Zza toru zabrani zostali: Józef Dronka, jego lokator o nieznanym mi nazwisku, który pochodzić miał gdzieś spod Warszawy i pracował przy robotach budowlanych.

¹⁶ Wspomnienia pisane były w latach siedemdziesiątych lub osiemdziesiątych XX wieku.

nych na budowie magazynów zbożowych „Stsekniss” w Zwiężycy, Kazimierz Szalacha, Tomasz Pięta i jego brat 18-letni Edward oraz Władysław Wilanowski, a także autor niniejszych wspomnień. Ukryć udało się Tomaszowi Popkowi w domu, Władysławowi Ru-sinkowi w stajni (przywalony został gnojem). Władysław Klimczak i jego syn Zenon ukryli się w kryjówce w piwnicy, a ślepy na jedno oko Andrzej Pięta uciekł polami do Staroniwy i ukrył się w zabudowaniach gospodarczych Januszów, mimo że w drodze Niemcy do niego strzelali.

Teraz postaram się dokładnie opisać, jak wyglądała obława za torem. 8 czerwca w nocy, całe rano i prawie aż do południa padał deszcz. We wczesnych godzinach rannych opady były bardzo intensywne. Około godz. 5.30 do domu mojej matki Anny Gawel ktoś bardzo mocno począł się dobijać i głośno krzyczał: „otwierać, tu warta gromadzka”. Matka zerwała się z łóżka, pobiegła do sieni pytając kto tam. Usłyszała odpowiedź, że to warta gromadzka. Wartownik wymienił swe nazwisko - Stanisław Magda (z cegielni). Dodał, że policja niemiecka, natychmiast kazał otwierać. Kiedy matka otworzyła, pierwszy do domu wszedł wartownik z lagą, a dopiero za nim dwóch gestapowców z automatami gotowymi do strzału. Ubrani byli w płaszcze podgumowane, na głowach mieli hełmy. Jeden z nich czystą polszczyzną bardzo głośno pytał mej matki, ilu w tym domu jest mężczyzn. Matka odpowiedziała, że tu mężczyzn nie ma, bo mąż umarł w 1941 r., tylko ona sama mieszka z drobnymi dziećmi. Gestapowiec zwrócił się do wartownika z zapytaniem - czy to prawda. Wartownik potwierdził, że mąż tej kobiety nie żyje. Niemiec zapytał matki, czy ktoś obcy tu nie nocuje? Matka odpowiedziała, że nikogo obcego tu nie ma. Chwilę jeszcze w sieni postali i wyszli na pole. W domu zapanowała chwila ulgi, bo zdawało się, że od nas odeszli. A oni w tym czasie poszli dokonać rewizji w stodole i na strychu.

Następnie wrócili do domu i rozkazali matce, aby jej wszystkie dzieci wstały i pokazały jak są duże. Gdy mnie zobaczyli kazali mi natychmiast ubierać się i iść z nimi, bo gestapowiec powiedział, że dziś jest wielka obława na wszystkich mężczyzn w wieku od 16 do 70 lat, których mają zebrać i doprowadzić do szkoły w Zwiężycy. Matka prosiła tych Niemców jak mogła, aby mnie nie zabierano, płakała, klęczała przed nimi całując ich po rękach. Na nic to wszystko się zdało. Rozkaz był nieubłagany. Musiałem się zbierać.

Kiedy się ubierałem Niemcy ponownie dokonali rewizji w domu i w stajni. Sprawdzili nawet czy wszystko bydło i świny są kolczykowane, (a tak niewiele o tym wiedzieli, bo jedna krowa miała lewy kolczyk oryginalny, a prawy podrobiony). Wyznać muszę, że ubrałem się w najlepsze ubranie jakie w tym czasie posiadałem, z myślą, że jak mnie zastrzelą to niech mnie w nim zakopią. Nie mogłem zasnurować butów, bo ręce mi się trzęsły. Ów Niemiec powiedział wtedy, żebym raczej wziął worek na głowę, bo pada deszcz. Zaznaczył, że będą mi też potrzebne wszystkie dokumenty. Kazał też zabrać kawałek chleba, przewidując, że do południa będziemy trzymać. Z chleba zrezygnowałem, gdyż jedzenie w takich okolicznościach byłoby niemożliwe. Sądziłem wtedy, że ma to odwrócić moją uwagę od tego, co za chwilę zamierzają ze mną zrobić. Tu przypomniało mi się nie tak odległe wydarzenie, gdy gestapo zabierało z domu niejakiego Kwiatkowskiego ze Zwiężycy. Ten uwierzył im i wziął kawałek pieczywa pod pachę. Wyprowadzono go w pole i zastrzelono.

Kiedy się już ubrałem, mama podała mi kenkartę i zaświadczenie o pracy wydane mi przez firmę Łempicki, która to w tym czasie prowadziła roboty na kolei w Rzeszowie przy budowie pomp na Wisłoku. Byłem tam zatrudniony jako wozak. Wychodząc pożegnałem się z matką, ucałowałem ją w obie ręce, a mama uściśnęła mnie i ucałowała w głowę. Pamiętam, że prosiłem ją jeszcze, żeby się dostała do wójta Józefa Rusinka z Boguchwały, aby ten wydał mi zaświadczenie, że wie, że ja czasem nocuję u swej matki w Zwiężycy-

cy, pomimo że jestem zameldowany we wsi Pobitno. Jeśli coś takiego od niego otrzyma, niech mi dostarczy do szkoły w Zwięzycy. Prosiłem „mamo ratuj mnie”, a na samym końcu w progu powiedziałem jeszcze „do widzenia mamo”. Za sobą usłyszałem zawodzące słowa mamy: „Niech cię Matka Boska ma w swojej opiece”. Tak to zostałem zabrany z domu przez gestapo. Nie płakałem chociaż zdawałem sobie sprawę gdzie i po co idę. Jeszcze przez chwilę od domu dolatywał mnie okropny płacz mojej mamy i mego młodszego rodzeństwa.

Na drodze dopiero zorientowałem się, że w tej akcji brało udział sześciu gestapowców i jeden wartownik gromadzki, który ich oprowadzał. Kiedy doszliśmy pod zabudowania Józefa Dronki, kazano mi się zatrzymać. Jeden gestapowiec stanął przede mną, wymierzył we mnie lufę automatu i zapowiedział mi: „pamiętaj, abyś nie uciekał, bo zostaniesz zastrzelony”. Pozostałych pięciu z wartownikiem poszło do Józefa Dronki. Tu dopiero naocznie zobaczyłem jak wygląda ta obława i ich wszystkie czynności podczas niej przy każdym domu. Dziesięć metrów przed każdym rogiem domu ustawiał się jeden gestapowiec z karabinem lub automatem, wymierzonym w stronę domu, a przede wszystkim w okna, a wartownik i jeden gestapowiec podchodzili do drzwi domu. Tu wartownik musiał mocno walić łagą w okno i krzyczeć, tak samo jak robił to u nas: „Otwierać tu warta gromadzka, Stanisław Magda i policja niemiecka”. Najpierw do domu wchodził wartownik z łagą, a za nim dopiero gestapowiec z wyciągniętym przed siebie automatem, gotowym do strzału. Po chwili wychodzili z domu na pole i szli po drabinie na strych. Tu również pierwszy musiał wchodzić wartownik, a za nim dopiero Niemiec. Zaglądali też do stajni i stodoły. Wrócili do domu, skąd wyprowadzili Józefa Dronkę i jego lokatora. Za nimi z domu wyszła żona Dronki i jego córka, które okropnie płakały. Gdy opuszczali już zagrodę, ów lokator zdjął pierścioneł i zegarek z bransolet-

ką i dał to córce gospodarza Władysławie, mówiąc, że gdyby nie wrócił, to niech to odda jego żonie.

W trzecim domu u Jana Warzochy nie zastano mężczyzn, bo w tę noc zarówno Warzocha jak i dwaj jego pasierbowie pracowali na nocnej zmianie w fabryce. Tu nas ustawiono pod ścianą warzochowej stodoły i byliśmy pilnowani przez jednego gestapowca, który mierzył w nas lufą swego automatu. Pozostałych pięciu poszło z wartownikiem do domu Kazimierza Szalachy. Znaleźli go, był nawet już ubrany, po przeszukaniu strychu zabrali go ze sobą. Gdy żona jego okropnie płakała, Niemiec czysto po polsku odezwał się do niej „niech pani nie płacze, mąż wróci”.

Następnie skierowali się do mizernej ze starości, krytej słomą chałupiny Piętów. Zanim doszli do tego domu poczuł ich pies i swym ujadaniem pobudził wszystkich domowników. Najstarszy Tomek zajrzał do okna. Kiedy zobaczył Niemców powiedział: „idą Niemcy, trzeba uciekać”. Myślał, że idą po niego, aby zabrać go do Niemiec. Był tam na robotach, ale z powodu śmierci swej matki dostał tygodniowy urlop na pogrzeb. Przyjechał do domu około 15 maja 1943 r. Nie chciał tam wracać. Podjął pracę w niemieckim przedsiębiorstwie budowlanym w Rzeszowie. Policja niemiecka kilka razy po niego przychodziła, ale zawsze zdążył uciec. Tym razem przed idącymi tam gestapowcami uciekło w pola za Tomkiem jeszcze jego dwóch młodszych braci. Ślepy na jedno oko Andrzej i 18-letni Edward. Gdy Niemcy przyszli do tego domu, nie musieli wcale dobijać się do drzwi, bo cała trójka Piętów uciekając z domu zostawiła je otwarte. Wartownik z Niemcem po cichu weszli do środka. Niemiec po polsku zapytał znajdującej się w domu Katarzyny Pięty, gdzie są mężczyźni. Ta odpowiedziała nie bardzo pewnym głosem, zacinając się, że ich nie ma, bo są w pracy w fabryce. Niemiec zajrzał do szafy i szybko wyszedł na pole. Zobaczył chłopców uciekających polami w kierunku Staroniwy i oddał do nich dwa strzały z karabinu. Tomek i Edward stanęli i podnieśli ręce do góry,

a ślepy Andrzej upadł na ziemię, podczołgał się kawałek i zaszył się w zbożu. Tomka i Edka Niemcy zabrali, a Andrzej czołgając się (pomiędzy zagonami) brudami dotarł do wsi Staroniwa i ukrył się u Januszów. Do domu wrócił dopiero w nocy.

Od Piętów Niemcy poszli do ostatniego domu na polach po Władysława Wilanowskiego. Zastali go i zabrali ze sobą. Całą czwórkę przyprowadzono do tego miejsca, gdzie trzymano nas trzech. Nam kazano wyjść spod ściany stodoły i dołączyć do tych czterech. Tomek Pięta szedł w koszuli i bez czapki. Prowadzono nas polną drogą do głównej szosy, obecnie ul. Podkarpackiej. Na krzyżówce stała grupa uzbrojonych Niemców. Widać było, że na nas czekali. Kazali nam się zatrzymać (obskoczyli nas jeszcze w koło), ustawić po czterech, a było nas tylko siedmiu. Odebrano nam pasy od spodni i powiązano nam nimi ręce. Pamiętam, że byłem przywiązany za lewą rękę do prawej ręki Władysława Wilanowskiego. Znalazłem się teraz na przedzie w kompletnej czwórce. Z prawej strony, za nami ustawiono trzech. Teraz kazano nam iść środkiem drogi. Po obu stronach i z tyłu za nami szli Niemcy. Prowadzono nas jak jakichś morderców czy bandytów, lecz to nie my nimi byliśmy. Co kawałek po jednej lub po drugiej stronie drogi stał uzbrojony Niemiec, trzymający w rękach karabin lub automat gotowy do strzału.

Naprzeciw drewnianego domu Walentego Szalachy, tj. w tym miejscu, gdzie droga zaczyna opadać w dół, na środku drogi była szeroko rozlana kałuża krwi, a czyjeś ciało leżało w rowie. Widok ten zrobił na mnie przerażające wrażenie. Za torem usłyszałem dwa strzały karabinowe. A tu przed chwilą śmierć szła tą samą drogą i nam zaczynała zaglądać w oczy. Od tego miejsca każdy postawiony krok uważałem za bliższy końca naszego życia. Wreszcie i my dołączyliśmy do tego nieszczęsnego korowodu stojącego na drodze przed Domem Ludowym. Tu końcówkę z naszej siódemki przestawiono przed nas do skompletowania poprzedniej czwórki, gdyż na jej końcu był tylko jeden człowiek, a był nim Stanisław Płonka. Tak więc

teraz znalazłem się w ostatniej czwórce tego pochodu, po jego prawej stronie i przyszło mi iść za rannym, mocno kulejącym Stanisławem Płonką.

Wydano rozkaz marszu w kierunku szkoły i zapowiedziano nam, że jeśli ktoś z nas ważył się odejść choćby na krok z szeregu lub się obejrzał do tyłu, zostanie natychmiast zastrzelony. Uszliśmy może dwadzieścia metrów, gdy padł nowy rozkaz „zatrzymać się wszyscy i klękać na kolana”. Nie wszyscy zaraz chcieli tak padać na kolana. Ociągano się, zastanawiając się pewnie, co nas teraz czeka. Niemcy ze wszystkich stron krzyczeli na nas, sypały się przekleństwa po niemiecku i po polsku. Wreszcie wszyscy uklękliśmy. Tak teraz myślałem, chyba nie tylko ja, ale i wszyscy nieszczęśnicy, że to już nasz koniec i tu nas wszystkich wykończą. A do tego ten ulewny deszcz padał tak niemiłosiernie, jak gdyby i on chciał nas upokorzyć. Wszystko to jakoś znosiłem, a niemało nerwów to kosztowało, ale dobił mnie okropny jęk dochodzący z domu z drugiej strony drogi. Po chwili takiego stresu i szarpania nerwów, wydano nowy rozkaz (chyba, aby umilić nam tę zdawało się ostatnią wędrówkę na tym świecie): „iść na kolanach do szkoły”. Nie szła nam ta wędrówka na kolanach. Po odebraniu nam pasów od spodni i związaniu nam nimi rąk, ci co byli na środku czwórek, a mieli szersze spodnie (niejednemu brzuch zdążył już przyschnąć do grzbietu po czteroletniej hitlerowskiej okupacji), to w takim marszu na kolanach spodnie im spadały, bo nie mogli ich podtrzymywać mając obie ręce związane. Jeden drugiemu włożył na wlokące się nogawice poprzędnika. Ludzie się przewracali, robiły się kłębowiska, bo byliśmy powiązani. Mimo poganiania nas i przekleństw, na nic się to wszystko zdało, bo tak uszliśmy około 45 metrów, gdy nakazano nam się zatrzymać, powstać, ponaciągać sobie spodnie, dołączyć w czwórkach i iść już na nogach do szkoły.

Kiedy skręcaliśmy w prawo z głównego gościńca do szkoły w Zwiężycy na krzyżówce, widziałem jak stał Kreishauptmann

Heinz Ehaus w asyście dwóch gestapowców, którzy przyglądali się nam, jak gdyby odbierali tę naszą straszną defiladę. Niejeden z nas w myślach ich za to przeklął. Kiedy starosta Ehaus zobaczył kulejącego Stanisława Płonkę, wówczas po niemiecku zawołał „Verletzter Płonka vertreten”, a tłumacz przetłumaczył na polski „ranny Płonka wystap”. A na to Stanisław Płonka błagalnym głosem odezwał się „Panie starosto brat zastrzelony, ja jestem zdrowy, darujcie mi życie”. Padło słowo „ruig”, a tłumacz przetłumaczył „spokój”. I w tym miejscu na samym zakręcie ranny Płonka został przez nas zabrany.

Do szkoły wchodziliśmy w dalszym ciągu powiązani, ale tylko za okazaniem gestapowcowi stojącemu w drzwiach posiadanej kenkarty. Kto nie miał kenkarty, był odwiązywany na schodach i zostawiany pod ścianą przy wejściu. Widziałem, jak – mimo wielkiego niebezpieczeństwa – grupa zwińczykich kobiet przedzierała się przez kordon niemieckiej policji, która nas otaczała. Aż pod szkołę przynosiły dokumenty i arbeitskarty tym, którzy nie mieli ze sobą dokumentów, aby ratować im życie. Tu wspomnieć należy, że i matka Stanisława Płonki - Salomea dwukrotnie dotarła do samego starosty Ehausa prosić go, aby ten darował życie jej synowi. Za każdym razem klęcząc przed nim, całując go po stopach, po nogach. Lecz i to nic nie dawało. Odchodząc tarzała się po drodze i tak przeraźliwie płakała, że słysząc ją było na co najmniej połowę wsi. Wołała: „bandyci zabiliście moje dzieci”.

Wspomnieć również należy o żonie Wincentego Szalachy Katarzynie z Kolonii Zwińczykiej. Przed jej domem na drodze został zastrzelony 23-letni Jan Płonka. Na obławę zabrano jej męża i trzech synów. Widząc, co się dzieje i jakie niebezpieczeństwo grozi jej trzem synom, przedarła się jeszcze podczas obławy przez drogę, a potem polami aż pod główną bramę fabryki Flugmotorwerku, aby zawiadomić o tym swego syna Piotra i wszystkich wychodzących z nocnej zmiany, aby nie wracali do swych domów, gdyż we wsi jest obława i Niemcy strzelają do ludzi. Po wyjściu poza bramę ludzie ze

Zwiężczycy zatrzymali się w pobliżu zabudowań Ostrowskiego. Aby nie stwarzać wielkiego zgrupowania część z nich przeszła przez gościniec obecną ul. Podkarpacką i poszła w kierunku cegielni, która mieściła się pomiędzy drogą, torem, cmentarzem i obecną ul. Zawiszy. Natomiast Andrzej Ząbczyk ze Zwiężczycy nie mógł znieść napięcia i postanowił pójść do domu. Tak wspomina o tym Walenty Zych: koledzy mu odradzali i prosili go, aby jeszcze nie szedł, ale on się uparł. Zdecydował się wracać tzw. ścieżkami, tj. obecną ul. Zawiszy. Do domu jednak nie dotarł. Został w drodze zauważony i zastrzelony przez Niemców. Rozum i odwaga tej prostej wiejskiej kobiety uratowały życie jej syna Piotra i niejednego jeszcze mieszkańca Zwiężczycy.

Po wejściu na korytarz skierowano nas do jednej sali szkolnej, od strony toru kolejowego, gdzie upchano nas na siłę, zamknięto drzwi, a przy drzwiach na korytarzu stał gestapowiec z automatem. Nie jestem pewny czy wszyscy zebrani mężczyźni z całej wsi zmieścili się w tej jednej tylko klasie czy trzymani byli też w innych salach po drugiej stronie korytarza. Wieś liczyła wtedy 377 zabudowań, a zebranych było około 360 osób. W szkole było nam już o tyle lepiej, że deszcz na nas nie padał, a byliśmy przemoczeni do suchej nitki. Kapało z nas, w butach mieliśmy pełno wody. Niewiele wówczas mówiliśmy do siebie, każdy był zamknięty w sobie. Czasem ktoś zapytał „skąd cię zabrali?”, „co się takiego mogło stać u nas we wsi?” Nikt nic nie wiedział. „I co ty myślisz, co z nami zrobią?” Odpowiedzi były podzielone. Jedni sądzili, że tu będzie nasz koniec, inni, że może ktoś z nas żywy jeszcze stąd wyjdzie. Były to okropne chwile w naszym życiu, chwile strachu, rozmyślania, gasnących nadziei na przeżycie. W takich okolicznościach przyszło nam przez pół dnia oczekiwać na swoją śmierć. Nie jestem w stanie w żaden sposób ani opowiedzieć ani opisać, co w tym dniu przeżyłem. Mieliśmy wiele czasu na pożegnanie się ze swoim życiem. I przy tym byliśmy bezradni. Tu wyliczyłem sobie, że przeżyłem 17 lat 8 mie-

sięcy i 10 dni. Trudno i tyle. W myślach tylko się modliłem i to jedynie podtrzymywało mnie na duchu.

Było chyba już dobrze po godzinie siódmej, gdy do naszej sali wszedł gestapowiec i rozkazał, aby wyczytani po nazwisku, począwszy od litery a, potem b, c, d i tak dalej, aż do końcowej litery alfabetu, wychodzili kolejno na korytarz z kenkartami do legitymowania. Wtedy dopiero całej naszej czwórce rozwiązano ręce. Na korytarzu stał stół, a przy nim było trzech gestapowców, dwóch siedziało za stołem, trzeci stał z boku. Ten ostatni mówił czysto po polsku i spełniał rolę tłumacza. Przy drugim boku stołu siedział nasz sołtys ze Zwięzcy Józef Materna. Wszyscy trzej hitlerowcy podczas legitymowania stanowili tzw. policyjny sąd doraźny. Ich wyrok nie podlegał żadnemu odwołaniu i był natychmiast wykonany. Zauważyć trzeba, że legitymowanie nie u wszystkich było jednakowo przeprowadzane. U jednych było łagodniejsze, a u niektórych przebiegało w sposób bardzo rygorystyczny i brutalny.

Gdy przyszedł kolej na mnie podszedłem do stołu, oddałem im swoją kenkartę oraz zaświadczenie z miejsca pracy, czyli tzw. arbeitskartę. Zapytano sołtysa, czy mnie zna, a ten odpowiedział twierdząco. Wówczas Niemiec skoczył do sołtysa i krzychał ile sił, czy naprawdę mnie zna. Sołtys ponownie odpowiedział, że tak. „To jak się nazywa?” Sołtys odpowiedział, że Jan Gawel z Pobitnego. Jemu dano spokój, a teraz mnie zapytano, jak się nazywam? Kiedy i gdzie się urodziłem, jak na imię matce i ojcu? I gdzie jest ojciec? Na wszystko odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Jeden z Niemców trzymał w rękach arkusz papieru kancelaryjnego i czegoś szukał. Widocznie mojego nazwiska figurującego w ich wykazie. U mnie to wszystko im jakoś nie wystarczało. Kazano mi jeszcze wyciągnąć ręce nad stół i pokazać dłonie, na które teraz we trzech się wpatrywali. Kazano mi odwrócić ręce i jeszcze raz „noch in mahl” pokazać dłonie. Nie wiem, czego się dopatrzyli, ręce przecież miałem sprawowane. Może szukali na prawej ręce na palcu wskazującym odcisku

od języczka spustowego od karabinu. Zmierzyli mnie jeszcze od dołu do góry oczami, oddali mi moje dokumenty i kazali wyjść prosto korytarzem na pole.

Myślałem, że zostałem zwolniony do domu. Gdy szedłem korytarzem, w następnej sali po prawej stronie, przez do połowy uchylone drzwi, widziałem jak na podłodze leżał we krwi związany postronkiem, opasany jak kłoda drzewa, ranny Stanisław Płonka. Pod oknami siedziało jeszcze kilku młodych ludzi, głowy mieli opuszczone, wspierając je na rękach. Krótka była u mnie ta chwila ulgi, bo trwała tylko tyle, ile zeszło, aby wyjść na schody. Tu widok był przerażający i momentalnie podcięło mi nogi. Stojący przy drzwiach Niemiec chwycił mnie za kark i postawił z lewej strony drzwi wyjściowych pod ścianą szkoły. Co chwilę przybywali nowi, których w szeregach po dwudziestu ustawiano pod murem. Przed nami stał karabin maszynowy, a za nim gestapowiec. Oprócz tego byliśmy otoczeni przez Niemców (co kilka kroków stał jeden) z wymierzonymi w nas lufami automatów i karabinów. Tak na deszczu, który jeszcze padał, staliśmy do godziny trzynastej. Ile to kosztowało nas nerwów! Znów byliśmy bezradni. Teraz naprawdę liczyłem się z tym, że to będzie mój koniec. Na rogu szkoły od strony wschodniej widziałem też kilku Azerbejdżanów. Chciałem choć modlić się jeszcze o jakiś cud uwolnienia z tego piekła.

Na korytarzu w dalszym ciągu trwało legitymowanie. Przy osobie Marcina Smyżenia, po podaniu Niemcom swych dokumentów i sprawdzeniu czy jego nazwisko figuruje na ich liście (widocznie było), kazano pokazać mu ręce, a sołtysa zapytano czy go zna i czy pracuje. Sołtys odpowiedział, że tak. Wówczas Niemiec uderzył go w głowę, że ten o mało nie upadł. Po czym ponownie zapytano, czy Smyżeń pracuje, sołtys ponownie odpowiedział, że pracuje, a Niemiec uderzył Maternę w głowę, tak że ten tym już razem padł na posadzkę. Smyżenia też pobito, chwycono za kark i wtrącono go do tej sali, gdzie trzymano Stanisława Płonkę. Przy legitymowaniu

Władysława Płonki, który nie był tu meldowany ani nigdzie poza gospodarstwem nie pracował, sołtys broniąc go ponownie został pobity, ale udało mu się. Władysław wyszedł z życiem cało i nawet nie został zabrany do obozu. Tomek Pięta i 18-letni Edward zabrani zostali podczas ucieczki i to tylko zadecydowało, że zostali skazani na rozstrzelanie i skierowano ich też do tej oddzielnej sali. Tu także dostał się Henryk Sołtys za to, że został zabrany podczas obławy z piwnicy, w której się ukrył.

Na korytarzu legitymowanie dobiegło końca. Widać było, że wielu ludzi, których mieli na swojej liście uciekło i nie wpadło w ich ręce, więc Niemcy zaczęli podejrzewać, że ktoś musiał ich uprzedzić. Na samym końcu do legitymowania przyprowadzono pracownika posterunku kolejowego ob. Kumora, który w tę noc pełnił służbę przy zamykaniu rampy na przejeździe drogowym. Uczyniono to z tego względu, aby jego nieobecność na służbie ograniczyć do minimum i nie stworzyć zagrożenia dla kolei. Zaczęto mu grozić, że jeśli nie powie, kto w nocy chodził po wsi, to on zostanie rozstrzelany. I ten podobno miał powiedzieć, że wartownicy Kubicz i Kocór wracając na wartownię ostrzegali ludzi. A widział, bo istotnie go w nocy ostrzegli. Po uzyskaniu takiej informacji gestapo zamierzało rozstrzelać całą wartę, czyli 12 ludzi. Komendant warty Jan Ślęzak znał język niemiecki, prosił tych gestapowców jak mógł i tłumaczył im, że cała warta nie jest winna, skoro tylko kilku opuściło wartownię. Niemcy dali się przekonać i zrezygnowali z zamiaru rozstrzelania wszystkich. Skazano tylko dwóch tj. Andrzeja Kocura i Andrzeja Kubicza, bo Chudzicki i Rejment zbiegli i ukryli się.

Wtedy gestapo wyprowadziło ludzi z tej oddzielnej sali korytarzem i drzwiami wyjściowymi za starą szkołę obok domu Jadwigi Micałowej na rozstrzelanie. W chwili wyprowadzania skazanych za 18-letnim Edkiem Piętą siedł jego starszy brat Tomek. Nawet w tej sytuacji miał bystrzejszą orientację, nie widząc w pobliżu Niemców popchnął od siebie w bok swego brata tak, że ten znalazł się w koń-

cowej grupie ludzi idących jeszcze z legitymowania na pole przed szkołę. W taki oto sposób Tomek uratował życie swemu bratu Edwardowi. Edward wspominał, że sam nigdy by się na to nie zdobył.

Władysław Czyż był skierowany też do tej oddzielnej sali. Ponieważ gromadzono tam także tych, których kierowano do obozu koncentracyjnego, korzystając z nieuwagi pilnującego tam Niemca, Czyżowi udało się przesunąć do drugiej, liczniejszej grupy, która miała być skierowana do obozu koncentracyjnego. Tak Władysław Czyż ocalał od rozstrzelania.

Dla nas, stojących pod ścianą szkoły, sytuacja stawała się z każdą minutą coraz groźniejsza. W tym czasie do eskortujących Niemców przybiegł inny z nowymi rozkazami. Niektórzy z nas sądzili, że będą nas dziesiątkować, próbowano też dokonywać zmiany miejsc, ale to się nie udawało. Najbardziej przeraził nas widok Niemca, który obsługiwał karabin maszynowy. Położył się on na rozłożonej pałatce, podniósł lufę karabinu na wysokość naszych piersi. Obserwowanie jego przygotowań do użycia broni było straszne.

Było już dobrze po godzinie dwunastej. Na polu deszcz już tylko mżył, raz po raz padały jakieś wypowiedane w języku niemieckim rozkazy. Niektórzy Niemcy biegali naokoło szkoły tam i z powrotem. Obstawa Niemców przyjęła pozycje bojowe. Jak już wspomniałem Niemiec obsługujący karabin maszynowy rozłożył pałatkę za karabinem, położył się na niej i ustawił lufę karabinu maszynowego na wysokości stojących pod ścianą tej szkoły. Było nas tam chyba wtedy około 300 ludzi.

Trudno sobie wyobrazić, co wtedy przeżyliśmy. Tego się nie da opisać. Czekaliśmy na swoją śmierć. Byliśmy bezradni. Naraz zaterkotał karabin.

Wierzyłem, że jeżeli zginiemy, ten kto przeżyje pomści naszą śmierć! Stojąc patrzyłem w lufę karabinu, modliłem się w duchu, co dodawało mi sił. Trudno w to uwierzyć, ale podniosłem sobie prawą nogę z myślą, że jak mnie skoszą, to chcę się przewrócić na lewą

stronę, gdyż po prawej była kałuża wody. Miałem w ostatniej chwili myśl, że gdy zobaczę jak mój towarzysz będzie się przewracał, to ja już nie będę miał więcej nic do stracenia, tylko krzyknę „niech żyje Polska”. Ale z tym nie wyskakiwałem, bo kryła się we mnie iskierka nadziei, że może uda mi się wyjść żywym z tego piekła

Na miejscu gdzie ustawiony był karabin maszynowy, przyszedł jeden gestapowiec i oznajmił nam, że ci co zostali rozstrzelani to są polscy bandyci i mają zostać pochowani w dole.

W czasie pacyfikacji Zwińczycy Niemcy zastrzelili łącznie 19 osób. Byli to: Andrzej Bednarski, Edward Czyż, Tadeusz Dander, Wojciech Deręgowski, Józef Klaczak, Andrzej Kocór, Andrzej Kozioł, Andrzej Kubicz, Stanisław Miąsik, Tomasz Pięta, Jan Płonka, Stanisław Płonka, Bronisław Popek, Władysław Rak, Marcin Smyrzeń, Henryk Sołtys, Jan Szalacha, Paweł Szalacha i Andrzej Ząbczyk.

Jan Gawel żył w latach 1926 – 2011. Posiadał fotograficzną pamięć. Zachował zdolność do obserwowania i zapamiętywania szczegółów nawet wtedy, gdy był w ekstremalnej sytuacji. Zebrał relacje od uczestników pacyfikacji, porównał je i zweryfikował. Spisał wspomnienia, które przez wiele lat znane były tylko rodzinie.

Opublikowanie ich ma na celu zachowanie w zbiorowej pamięci tragicznych wydarzeń z okresu okupacji oraz przekonanie starszych mieszkańców, że ich pamięć jest wartością niezwykle przydatną dla następnych pokoleń. Okupacyjne wspomnienia zobowiązują nas, abyśmy tworzyli taki świat, w którym takie tragedie, jak ta, która wydarzyła się 8 czerwca 1943 r. w Zwińczycy, nigdy się nie powtórzą.

Aneks

Pacyfikacje w powiecie rzeszowskim¹⁷

Miejsco- wość	Data	Liczba zamordo- wanych	Inne środki represji	Przyczyna	Instytucje przepro- wadzają- ce
Przewrotne	8 XII 1942	3 (4-6) rozstrzelano (ze Stu- dzieńca)	–	Ukrywanie „bandy” lub Żydów	Gestapo
	13 III 1943	21 (30) rozstrzelano	–	Przynależność do tajnej organizacji	Gestapo
	9 V 1943	20 (26) zastrzelono podczas obławy, po wpędzeniu do sadzawki	40 osób zabra- no do obozu w Pustkowie	19 – przyna- leżność do tajnej organi- zacji, 3 – za ukrywanie partyzantów, 3 przypadkowo podczas pacy- fikacji	Gestapo, policja granato- wa
Staroniwa Dolna	1 VI 1943	45 (55), rozstrzela- no, wśród nich kilku rolników (12 z warty nocnej)	–	Odwet za uszkodzenie przez party- zantów trans- formatora w Staroniwie	SS, Ge- stapo, żandar- meria
Hucisko	10 VI 1943	21 (23) rozstrzelano	15 gospo- darstw spalono	Udział w partyzantce	Gestapo, policja, Wehr- macht
	1-3 X (9 XI) 1943	4 (5) roz- strzelano	–	Udział w partyzantce	Gestapo
Zwiężyca	8 VI 1943	19 rozstrze- lano	25 skierowano do obozu	Obława	Gestapo,

¹⁷ Sporządzono na podstawie książki Cz. Madajczyk, *Hitlerowski terror na wsi polskiej 1939 – 1945. Zestawienie większych akcji represyjnych*, Warszawa 1965, s. 127-128.

					SS, Schutz- polizei, Bahn- schutz
Wysoka Głogowska	22 VI 1943	11 (6) rozstrzelano (spośród mieszkań- ców groma- dy	–	Udział w partyzantce	Gestapo
Stobierna	8 VII 1943	15 (14) rozstrzelano po uprzed- nim zmasa- krowaniu	11 gospo- darstw spalono	–	Gestapo
Wola Zgłobień- ska	18 VII 1943	38 rozstrze- lano (mieszkańcy wsi oraz 8 – 9 partyzan- tów	2 gospodar- stwa spalono	Odwet za zabicie pod- czas walki z partyzantami 5 żandarmów niemieckich; podejrzewanie istnienia na tym terenie organizacji podziemnej	Gestapo, SS
Bratkowice	27 VII 1944	10 bestial- sko zamor- dowano (rolnicy)	–	Odwet za udział w partyzantce	SS
Przyby- szówka	–	8 (10) zastrzelono	–	Działalność przeciw oku- pantowi	–

Z uwagi na to, że informacje w źródłach pisanych i relacje świadków czasem różnią się, w kolumnie trzeciej w nawiasie podano inną liczbę zamordowanych niż przed nawiasem.